

## ŚWIĘTY WOJCIECH

**Dziecko ledwo uratowane od śmierci. Ksiądz szukający przyjemności życia. Biskup dwukrotnie uciekający ze swojej diecezji. Misjonarz, który nie wygłosił ani jednego kazania. A jednak-zwycięzca. Święty Wojciech: patron tych, którymi Bóg posługuje się za ich plecami.**

Dzieci od urodzenia przeznaczone do kariery duchownej miały przynieść rodzinie korzyści niekoniecznie duchowe. Wiadomo, że syn znacznego rodu nie może skończyć jako prosty braciszek, zmywający podłogę w klasztorze, a mieć syna opata czy biskupa, to prawdziwy honor i niezłe koneksje.

Ale Wojciech miał być rycerzem. Choroba pokrzyżowała plany: kiedy malec umierał, prawdopodobnie z przejedzenia, rodzice złożyli go na ołtarzu i ofiarowali Bogu. Kiedy wyzdrowiał, wypadało, by byli konsekwentni - posiali więc Wojciecha do szkoły w Magdeburgu, żeby przygotował się do bycia duchownym. Tak się zaczęła długa droga człowieka, który z ludzkiej perspektywy nieustannie przegrywał.

### Szkoła bez mistrza

W dwóch relacjach na temat naukowych postępów Wojciecha pojawiają się jego zgoła różne obrazy. Jan Kanapariusz pisze o chłopcu świątobliwym, pilnym i unikającym zabaw, co jest raczej mało prawdopodobne. Bruno z Kwerfurtu, bliższy Wojciechowi, wydaje się być większym realistą w jego ocenie. Wojciechowa inteligencja i pojętność nie zawsze szła w parze z pilnością, kiedy jednak po dziewięciu latach nauki wychodził ze szkoły, mógł się pochwalić ówczesną wiedzą i znajomością kultury. I choć to ważne, nie ważniejsze jednak niż to, czego Wojciech nie otrzymał - nie otrzymał bowiem mistrza. Jego nauczyciel Otryk, choć zwany drugim Cyceionem, był człowiekiem próżnym i łasym na zaszczyty; zdecydowanie nie nadawał się na wzór do naśladowania.

### Rycerz rozkoszny

W Pradze, już wykształcony, choć pozbawiony protekcji zmarłego ojca i arcybiskupa Adalberta, Wojciech szybko znalazł dla siebie miejsce. Lubił go książę Bolesław i biskup Dytmar, oczywiste było, że kariera tego dwudziestokilkulatka potoczy się szybko. Pochodził przecież z wielkiego rodu, był wykształcony, ufali mu rodacy, ufali też obcy.

A że Praga wówczas bardziej była pogańska niż chrześcijańska, Wojciech niespecjalnie odstawał od przyjętych w niej zwyczajów. Bawił się, jadł, pił, i cieszył bogactwem, aż miejscowi nazwali go „rycerzem rozkosznym” -choć przecież nie był rycerzem, a duchownym. Powołanie? Tego jakoś nikt w nim nie zauważał, a pewnie i nawet nie szukał.

## Oddech śmierci

Mimo to Bóg pamiętał, że ów „rycerz rozkoszny” był złożony Mu na ołtarzu. Upominał się o niego, kiedy biskup Dytmar umierał. Był Dytmar biskupem o pustych rękach, który nie miał czego złożyć przed Bogiem, bo i nic dobrego w życiu nie uczynił. Umierał krzycząc, przerażony wizją własnego potępienia, wiedząc, że już nic naprawić nie zdoła. Umierał w rozpacz, nie umiając już nawet zdać się na Boże Miłosierdzie.

To umieranie przerażało Wojciecha; przerażało go i zmieniło. Wprawdzie przyjaciele spodziewali się, że gdy szok minie, powróci do wspólnych zabaw - on jednak nie powrócił. Jego życie zaczynało mieć kierunek: w przeciwną stronę niż Dytmar.

## Biskup Pragi

Szczytne i pobożne miał zamierzenia Wojciech, nowy biskup Pragi. Miał 26 lat i diecezję, która nic nie robiła sobie z chrześcijaństwa i praw Kościoła. Wieleczeństwo, nałożnictwo, wspólność kobiet były na porządku dziennym, podobnie małżeństwa wbrew kanonicznym przeszkodom, handel jeńcami, bezkarne zabójstwa w obronie honoru. O praktykowaniu niedziel można było tylko pomarzyć, pogrzeby bardziej przypominały pogańskie gusła, a krzyż służył jako ładna ozdoba.

I pewnie biskup, starszy i cierpliwy, nauczony dyplomacji i długomyślności, poradziłby z tym sobie po jakimś czasie. Ale Wojciech był młody i chciał od razu, jednym cudownym słowem, wypłenić zwyczaje, które wrastały w ludzi przez setki lat. Chciał sam - choćby wbrew wszystkim. Jakby wierzył, że z ziarna kłós wyrośnie w ciągu jednej nocy, jeśli tylko będzie się bardzo chciało.

## Biskup samotny

Trzeba przyznać, że choć na innych ciężary próbował nakładać, sam nosił jeszcze cięższe. Żył ubogo, majątek rozdawał, spraw Kościoła pilnował, upominał, nauczał, karmił. Ubodzy jadali przy jego stole, on sam spał na podłodze i długo nocą odprowadzał czuwania.

Ale jego gwałtowność odstraszała możnowładców, kler i lud zwyczajny. W końcu został przy nim tylko przyrodni brat Radzym, który był proboszczem katedralnym. Nikt prócz niego nie rozumiał Wojciecha i nie popierał jego działań.

Ucieczkę z diecezji Wojciech ukrył pod pretekstem podróży do Rzymu - ale przecież wiedział, że przegrał swoje biskupstwo. Posłuszny Chrystusowi i swojemu sumieniu musiał być w rozterce: bo czy posłusznemu może wszystko się zawalić?

## Światelko w tunelu

Choć formalne więzy Wojciecha z Pragą istniały nadal, papież nie nakazał Wojciechowi powrotu do diecezji. Ten postanowił ruszyć więc z pielgrzymką do Jerozolimy. Nie zaszedł daleko: już na Monte Cassino próbowali go zatrzymać mnisi, a spotkany tuż obok pustelnik Nil skierował go na Awentyn, do klasztoru Benedyktynów. Wojciech posłuchał natychmiast i tak zaczęły się trzy najpiękniejsze lata w jego życiu. Jakże może być bowiem właściwsze miejsce dla człowieka mało samodzielnego, w rygorach i posłuszeństwie czującego się jak ryba w wodzie? Wojciech zapomniał o swoim pochodzeniu i o biskupstwie, sprzątał w kuchni, nosił wodę, zmywał miski po posiłkach, a kiedy odmawiano psalmy, czuł, że jest jedną z wielu kropeł w olbrzymim morzu. I o niczym nie musiał decydować sam.

## Koniec raju

Metropolitą Moguncji był wówczas Willigis - świetny organizator, człowiek stanowczy i prostolinijny. Nie mógł się pogodzić, że w podlegającej mu diecezji praskiej biskup pozornie jest, choć w rzeczywistości go nie ma, bo zmywa korytarze gdzieś na Awentynie. Zażądał jego powrotu do Pragi.

Drugi okres pobytu Wojciecha w Pradze był jeszcze krótszy, trwał zaledwie trzy lata. Ostatecznie poszło o prawo kościelnego azylu i cudzołożną kobietę, którą biskup próbował uchronić przed zabójstwem. Nie udało się: kobietę wywleczono z kościoła i ścięto na oczach biskupa, jego samego zaś obezwładniono. Następnego dnia biskupowi nie pozostało nic innego, jak tylko rzucić klątwę na przestępców. W mieście znów zawrzało: on bronił chrześcijańskiego miłosierdzia, oni zaś swego odwiecznego prawa karania cudzołożnic. Oni ustąpić nie chcieli - on nie mógł. W 994 roku znów poszedł na Awentyn, do klasztoru.

## Ultimatum

Willigis tym razem okazał się bardziej stanowczy. Na rzymskim synodzie w 996 roku wytoczył Wojciechowi sprawę o ponowne, samowolne porzucenie diecezji. Wyrok był jasny: albo Wojciech wróci do Pragi, albo zostanie obłożony klątwą. Na szczęście papież na prywatnej audiencji złagodził ten wyrok: jeśli Praga nie zechce przyjąć Wojciecha, może on udać się na misje. Tylko na Awentyn wrócić mu nie wolno.

Kiedy Czesi odpowiedzieli, że nie ma dla Wojciecha miejsca w Pradze, ten roześmiał się ponoć radośnie i z ulgą. Był gotów poddać się orzeczeniom papieskim i iść przed siebie - byle nie do Pragi.

## Misje

Wojciech miał iść na misję: ale misje wówczas oznaczały miecz i ogień. On chciał inaczej, bez broni i zbrojnych, sam i bezsilny. Z własną tylko krwią do przelania. To było szalone: pogańskie plemiona tak bardzo znały już misyjne metody, że człowiek z krzyżem automatycznie stawał się ich wrogiem, i można go było tylko zabić - żeby on nie zabił pierwszy.

A Wojciech szedł, jakby był z innego świata. Ponownie, jak w Pradze, ignorujący wymagania epoki, będąc ponad doświadczeniem ludzkości, ponad wszelkim kompromisem. Biorący wymagania Ewangelii tak dosłownie, że bardziej już nie można.

Poszedł na misję. Polska była tylko etapem, choć Bolesław Chrobry pokochał Wojciecha i chciał go zatrzymać na dworze. Ale ten wiedział, że Polacy choć jeszcze nie do końca mogą nazywać się chrześcijanami, to poganami także już nazwać ich nie można. I wiedział, że pozostanie w Polsce byłoby niełojalnością wobec Rzymu, ukryciem się w bezpiecznym kącie przed papieskim poleceniem.

## Śmierć

Na początku kwietnia 997 roku razem z Radzymem i Benedyktem ruszyli na północ. Bez eskorty, bez broni, tylko z krzyżem. Kiedy Wojciech próbował głosić Słowo Boże na półwyspie przybrzeżnym, przepędzono ich, uderzając go przy okazji wiosłem. Potem w głębi lądu starali się głosić w pobliżu dworu i targu, ale i stamtąd ich przegnano. A kilku zwiadowców ruszyło w ślad za nimi.

23 kwietnia Wojciech odprawił Mszę św. Potem już dopadł ich pościg, prowadzony przez pogańskiego kapłana. Wojciecha, ubranego w szaty liturgiczne, zamordowano rytualnie, siedmioma uderzeniami włóczni, w uświęconym gaju. Jego ciało zatrzymano, a Radzyna i Benedykta odstawiono bezpiecznie do granicy.

I choć na tym kończy się ziemską historią Wojciecha Sławnikowicza, to przecież ważniejsza jej część rozegrała się później. Bóg chciał, by pojawiły się owoce, jakich nikt się nie spodziewał po pozornie nieudanym życiu i bezużytecznej śmierci.

Benedyktyński herb przedstawia ścięty pień dębu, wypuszczający młode gałązki, z hasłem: „Choć ścięty-znów ożywa”. Trudno nie kojarzyć tego z benedyktynem Wojciechem: niechcianym biskupem, misjonarzem bez owoców, a jednak źródłem polskiej państwowości, patronem Polski i Europy.